

BOGÓBÓJCSYNI.

BOGÓBÓJCZYNI

HANNAH
KANER



Przełożył JACEK DREWNOWSKI



Tytuł oryginału: *Godkiller*

First published by HarperCollinsPublishers 2023

Copyright © Hannah Kaner 2023

Jacket design by Holly Macdonald © HarperCollinsPublishers Ltd 2023

Jacket illustration © Tom Roberts

Map and interior illustrations © Tom Roberts 2023

Author photograph © Magdalena Kaminska Photo

Copyright © for the translation by Jacek Drewnowski

Redakcja: Joanna Czarkowska

Korekta: Renata Kuk, Magdalena Magiera

Skład i łamanie: Robert Majcher

Copyright for the Polish edition © 2024 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-347-1

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2024

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

twitter.com/WydJaguar

Druk i oprawa: ABEDIK

Wydrukowano na papierze Creamy 70, dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

Mojemu ojcu, który czyta każde słowo

MIDDREN

FELIC FARNE

ENNERTON

GEFYRTON

SAKRE

LESSCJA

WEILD

IRISJA

TRAADA



TALICJA

PINET

BLENRADEN

RESTISH

MORZE
KUPIECKIE

BELHAVEN

WSIRIN

SICARA

PROLOG

Piętnaście lat temu

JEJ OJCIEC ZAKOCHAŁ SIĘ W MORSKIM BOGU.

Bóg nazywał się Osidisen, a rodzice nadali Kissen i jej braciom imiona w podziękę za jego względy: Tidean – „na fali przyprływu”; Lunsen – „księżyc na wodzie”; Mellsenro – „turlające się kamienie”. Na koniec Kissenna – „zrodzona z miłości morza”. Osidisen napełniał im sieci rybami, uczył ich, kiedy zмагаć się z burzą, a kiedy się chować, i co dzień wraz z połowem zapewniał im bezpieczny dom. Kissen i jej rodzina żyli dzięki łasce morza.

Ale morski bóg nie przyniósł szczęścia ziemiom Talicji. Wioski na wzgórzach uległy w końcu pokusom zsyłanym przez boginię ognia Hseth i obietnicom bogactw.

Wszyscy pragnęli żyć w dostatku jako kochankowie ognia. W imię Hseth Talicjanie palili swe łodzie i wycinali lasy, by kuć broń, topić mosiądz i wytwarzać wielkie dzwony, które rozbrzmiewały od nadmorskich klifów aż po górską granicę. Wody Osidiseny opustoszały

i nad krainą wzniósł się dym. Wkrótce inne, mroczniejsze opowieści o przemocy poniosły się z miast do wsi. O ofiarach, łowach i oczyszczaniu w płomieniach w imię bogini ognia, o wrogach i starych rodach spalonych dla jej przyjemności.

Pewnej nocy, nocy po dwunastych urodzinach Mellsenra, kiedy rytualnie wytatuowano mu jego imię na palcach, jedenastoletnią Kissen obudził dym dziwnie gęsty i o słodkiej woni. Drapał ją w gardle.

Przecknęła się, a wtedy dotarło do niej, że niosą ją ludzie z twarzami obwiązanymi tkaniną, poznaczonymi węglowym pyłem i z dzwonekami we włosach, rozsiewającymi blask niczym latarenki. Kończyny Kissen nie chciały nawet drgnąć, a jej pierś była ciężka, bo wciąż spoczywały na niej sny. Poznawała ten słodki dym: środek nasenny uzyskiwany przez palenie nasion slessu pomieszany z zapachami roślin, których nie знаła. Pod jej domem morze chłostało klify. Osidisen się gniewał.

Próbowała coś powiedzieć, ale usta odmawiały jej posłuszeństwa, a język przykleił się do policzka. Głowa przechyliła się na bok i Kissen zobaczyła także Mella – jego świeżo poznaczona atramentem dłoni przesuwająca się po podłodze.

– Mmmelll. – Spróbowała jeszcze raz Kissen, ale jej brat nawet nie drgnął. Usypiający dym sączył się przez okiennice, przez ściany. Wisiał w powietrzu.

– Cicho – powiedział jeden z tych, którzy ją trzymali, i nią potrząsnął. Znała ten głos, te zielonkawe oczy.

– N-Naro? – spytała nieco silniejszym teraz głosem. Na zewnątrz łoskotały fale, a dym kłębił się, podczas gdy morski wiatr przeciskał się przez szczeliny w plecionych ścianach. Poczowała rześki podmuch słonego powietrza na twarzy, na wargach. Trochę pojaśniało jej w głowie. Naro rzucił jej spanikowane spojrzenie.

– Mówili, że nie obudzą się tak prędko – warknął do kogoś.

– Szybciej. – Drugi głos też rozpoznała. Mit, szwagier Nara. Małski chroniły ich przed środkiem usypiającym. – Szybciej!

Nieśli ją dalej w głąb domu, do paleniska w samym środku.

– Co robicie? – spytała Kissen głosem przytłumionym, lecz wyraźnym. Jej ciało wciąż nie chciało się poruszyć.

Dotarli do paleniska, okrąglęgo kamienia pod dachem krytym strzechą z otworem umożliwiającym wylatywanie dymu. Wokół żaru pozostałego po wieczornym ognisku ustawiono splecioną klatkę w kształcie dzwonu, wykonaną z drewna i metalu. Rodzice dziewczyny zostali już przywiązani do jej zewnętrznej krawędzi. Braci właśnie krępowano: kostka, kostka, ręce, szyja. Ofiary dla bogów. Kissen była ostatnia.

Naro i Mit pchnęli ją na pręty obok jej ojca. Morski wiatr dmuchał przez dymnik w dachu, omiatając krokwie. Okiennice trzaskały, dom trząsał się, a wokół rozbrzmiewał dźwięk rozgniewanej wody.

– Naro, przestań – powiedziała Kissen, teraz już głośniej. Dym ze slessowych nasion prawie już rozplynął się w powietrzu, lecz wciąż więził jej kończyny. – Dlaczego to robisz?

Naro wykręcał jej nogi, żeby przysnurować je do podłoża klatki, Mit przywiązywał jej ręce do prętów. Lunsen zanosił się urywanym szlochem. Kissen straciła z oczu Mella, znalazła w sobie jednak siłę do stawiania oporu, kiedy ją krępowali, ale byli od niej więksi i silniejsi. Narastający wiatr zagłuszał bijące na zewnątrz dzwony, a dobiegający gwar zdawał się składać z tysięcy głosów, chociaż wioska liczyła zaledwie setkę dusz. Na zewnątrz musieli być wszyscy ich sąsiedzi. Razem zaplanowali, że złapią ulubioną rodzinę morskiego boga. Kissen czuła zapach gorącej smoły tuż obok. Strach ścisnął jej gardło.

– Przykro nam, *liln* – powiedział Mit. Jak śmiał nazywać ją „małą”? To prawo przysługiwało wujom, przyjaciołom. On nie był przyjacielem. Był zdrajcą. – Tak musi być.

Kissen zebrała w sobie siłę i ugryzła go ostrymi zębami. Odskoczył, trzymając się za poduszczkę kciuka, tam gdzie go dziabnęła.

– Zostawcie ją – warknął. – Już czas. Nie będa na nas czekać.

Pobiegli. Kissen się trzęsła. Wypluła krew Mita i łapiąc powietrze, szarpała się w więzach, żeby zobaczyć rodzinę.

– Tato. – Był niedaleko od niej. – Tato!

Bern, jej ojciec, źle oddychał. Wargi miał poszarpane i zakrwawione, twarz poranioną. Musieli go pobić podczas narkotycznego snu. Te zmasakrowane usta całowały kiedyś boga mórz, ale teraz jego czoło znaczył nasmarowany węglem dzwonowaty symbol Hseth.

Powietrze znowu zgęstniało od dymu, tym razem nie słodkiego, lecz gorzkiego i lepkiego, gorącego i czarnego, bijącego przez podłogę. Mieszkańcy wioski podpalili smołę pod palami, na których wznosił się dom.

Kissen zaczęła szarpać więzy rękami i nogami.

– Tato! – krzyknęła. Gdy ugryzła napastnika, zostawili ją, nie przywiązując szyi. Wyginała rękę na wszystkie sposoby, aż kości trzeszczały, i usiłowała przesunąć głowę w stronę bliższej dłoni. Już. Dosięgnęła. Zatopiła zęby w sznurze, gryząc i ciągnąc węzeł. To był impregnowany sznur, wiedziała, że nie miał prawa się strzępić, ale nie chciała zginąć.

Tidean też był przytomny.

– Wy nędzne śmieci! – krzyczał, szamocąc się w więzach i dławiąc, gdy sznur zaciskał mu się na szyi. Zakaszłał od dymu. – Wy tchórzliwi zdrajcy! – Głos miał ochrypły.

Gorąco narastało. Kissen czuła je podeszwami stóp.

– Zachowajcie spokój – rozległ się ciężki od narkotyku głos ich matki. – Zachowajcie spokój, moi kochani. Osidisen nas ocali. Obiecuję.

Kissen jeszcze nie widziała płomieni, ale powietrze falowało. Morski wiatr Osidisena wciąż wciskał się do środka, a dym i powietrze tańczyły razem niczym oliwa i woda. Usta dziewczyny, jej oczy i nos były zupełnie suche. Wbiła zęby w sznur ze zdwojoną siłą.

– Wszyscy za to zapłacicie! – Groźby Tideana brzmiały głośniejsz niż głos matki, ale był związany zbyt mocno, mocniej niż Kissenna. Jego dzika szamotanina nie przyniosła nic dobrego. Podłoga zaczęła

miejscami pękać. Spod niej biło jasne światło. Ściany czerniały. A później okruczeństwo żaru, iskra, języczek ognia i drewniane drzwi zajęły się ogniem, sypiąc Tideanowi iskrami w oczy. Zaczął krzyczeć i miotać się jeszcze mocniej.

– Oddychaj głęboko, synu – powiedziała jego matka. – Wszystko jest w porządku, Osidisen się zjawi.

Kłamała, okłamywała ich, żeby ulżyć im w śmierci, okłamywała samą siebie. Osidisen był wodnym bóstwem. Nie mógł sforsować brzegu, nawet dla nich, tak jak żaden bóg ognia nie odważyłby się pływać w morzu. Bogowie nie mogli ich teraz ocalić.

Sznur haratał delikatnie wewnątrz ust Kissen, a po jej języku spływała gęsta i gorąca krew. Warknęła, wgrzyzając się mocniej i wykręcając więzy. Ból, zgrzyt w dziąsłach, później trzask. Sznur! Sznur był luźny, lecz tkwił w nim jej wyrwany kieł.

Kissen szarpnięciem uwolniła nadgarstek i zaczęła pracować nad drugim, a jej słona krew spływała po podbródku i kapała na kamień na dole, gdzie syczała i parowała.

Druga ręka wolna! Teraz nogi. Zakrwawiła sobie paznokcie na sznurach, warcząc z desperacji. Uratuje ich. Musi. Oddech miała gorący, oczy ją piekły, ale nie przestawała. Jej matka zaczęła kaszleć.

– Oddychajcie głęboko, moje dzieci – powiedziała. Kissen słyszała łzy w jej głosie. Lunsen teraz skamlał. Tidean szamotał się coraz słabiej. Mell nawet nie drgnął. – Niech dym pogrąży was we śnie, a Osidisen po was przyjdzie.

Sznury Kissen opadły, jej stopy były wolne. Podłoga stała już w płomieniach, a morski wiatr jedynie rozrzedzał dym, niweczając szansę, na którą liczyła matka: szansę na bezbolesną śmierć.

– Tato. – Przywiązali jej ojca do metalowych prętów, które robiły się coraz gorętsze. Kissen i tak się po nich wspięła, parząc sobie dłonie.

– Kissen – mruknął tata przez opuchnięte wargi. W jego oczach lśnił błysk zdumionej ulgi. – Córeczko, uciekaj.

– Uratuję cię – wycharczała między kaszlnięciami. – Uratuję was wszystkich.

Przycisnęła palce do twardych żeglarskich węzłów. Były ciasne, ale mogła sobie z nimi poradzić i uwolnić ojca. Oczy ją piekły. Mell w końcu się obudził i krzyknął, gdy płomienie dotarły do skraju paleniska, liżąc mu piętę. Dobrze, wszyscy przytomni. Przytomni mogli uciekać. Uwolniła lewą dłoń ojca i zajęła się stopami, podczas gdy on sam rozwiązywał sobie prawą rękę. Bicie dzwonów na zewnątrz nasilało się, donośne, zlewające się w jeden ton głośniejszy niż huk ognia.

Płomienie się zmieniały. Splatały się ze sobą, wiły po ścianach, po czym spadały na podłogę w jednym słupie, sypiąc iskrami jak śniegiem. Z kłębow dymu dobiegał rehotliwy śmiech, szorstki i pełen zadowolenia.

Ogień wirował i rozkwitał wachlarzami światła i żaru. Między nimi kręciła się kobieta z szeroko rozłożonymi rękami. Hseth, bogini ognia. Jej włosy połyskiwały odcieniami żółci i brudnej czerwieni. Dobywał się z niej żar, od którego trzeszczały i pękały deski i belki.

– Morski boże! – krzyknęła, po czym zawołała go po imieniu: – Osidisenie! Spójrz, jak się od ciebie odwrócili i oddali mi twoje miłości. Nie możesz mnie tknąć, stary patroszony wodny capie! Ta ziemia należy do mnie!

Hseth nie spojrzała na Kissen ani na jej rodzinę. Nie wzruszyły jej ich krzyki. Wystrzeliła przez powagę jak ognisty bicz i dach runął z łoskotem.

Kissen zamrugwała. Czarne gorąco. Później światło. Później ból. Klatka rozprysła się pod ciężkimi belkami. Mell już nie krzyczał. Znowu zamrugwała. Jej ojciec tam był, uwolniony z więzów. Bolała ją głowa. Usta miała pełne popiołu.

– Ta... – wydusiła z trudem. Zrzucił z niej odłamki, ale nie mógł podnieść poskręcanego metalowego prętu, który wbił się w jej prawą nogę, strzaskał ją poniżej kolana i przygwoździł do podłogi. Czekala ją śmierć. Widziała to w oczach swojego ojca.

– Wszystko będzie dobrze, Kissenno – powiedział, kłamiąc, tak jak wcześniej matka, łagodnym głosem, który tak podziwiał Osidisen. Pogłaskał ją po włosach, jakby kładł ją do snu. – Bądź dzielna, moja kochana, moja córko.

– Uciekaj, tato – powiedziała, tłumiąc przerażony szloch. – Proszę.

– Nie płacz, Kissenno – odrzekł. – Tak będzie lepiej.

Ból. Oślepiający, okrutny ból. Wbił się w nogę Kissen. Wydała okrzyk, ale dym wepchnął go jej z powrotem do gardła. Ojciec trzymał w dłoni rozgrzany do czerwoności pręt, syczący świeżą krwią ich obojga. Podźwignął go w górę.

– Jej noga za jej ocalenie, Osidisenie! – krzyknął. – Błagam cię, zabierz ją z tego miejsca! Daję ci w zamian moje własne dzieło: jej ciało, krew i kość.

Opuścił pręt ponownie i nim obrócił.

Kissenna znowu krzyknęła, bo ból pożerał ją szybciej niż ogień. Przed oczami miała czerń, biel. Gdy odzyskała zmysły, tata wyciągał ją ze zgliszczy, w których została dolna część jej nogi. Twarz miała czarną od sadzy poprzecinanej łzami, które spływały wprost w jego brodę.

Później zobaczyła morze pod roztrzaskanymi ścianami. Rozszalałe, bezsilne, bijące w podstawę urwiska. Wznosiło się do nich słońce powietrze. Na chwilę otrzeźwiło Kissen. Fale chwyciły każdy kawałek drewna, który odpadał od domu, i rwały go na strzępy.

– Moje życie, Osidisenie! – zawołał jej ojciec. – Moje życie za jej, ostatnia rzecz, o jaką kiedykolwiek poproszę.

– Nie! – wychrypiała Kissen ledwie przytomna.

– Jesteś mi to winien! Mój kochanku, mój przyjacielu. Teraz jesteś to winien jej. Moje życie za życie Kissenny!

Morze uniosło się, pnąc się po klifie, jakby chciało go dosięgnąć. Z fal wyłoniła się twarz Osidisena o oczach równie ciemnych jak głębiny. Przez chwilę Kissen miała nadzieję, że bóg odmówi, że uratuje także jej ojca.

Lecz bogowie kochają męczenników.

Skinął głową.

Kissenna próbowała walczyć. Nie chciała od boga obietnicy. Chciała swojego ojca, swojej matki, Tideana, Lunsena i Mella. Chciała swojej rodziny. Tata ostatni raz przycisnął ją do piersi, podrapał jej twarz brodą i ją pocałował.

– Kocham cię – powiedział i rzucił córkę wprost w fale.

PRZYPOMINA SIĘ WSZYSTKIM OBYWATELOM MIDDRENU

ZGODNIE Z EDYKTEM, KTÓRY WYDAŁ

KRÓL ARREN DRUGI



BOHATER BLENRADENU, WSCHODZĄCE SŁOŃCE
ZACHODU, OBECNIE W TRZECIM ROKU PANOWANIA

Po ocaleniu Naszego Kraju przed Bogiem Wojny

ODDAWANIE CZCI BOGOM JEST ZAKAZANE W OBRĘBIE GRANIC MIDDRENU



Prawo obowiązuje od PÓŁNOCNO-WSCHODNIEJ granicy z GROŻNYMI ZIEMIAMI
TALICJAŃSKIMI po ZACHODNIĄ CIEŚNINĘ i WYSPY KUPIECKIE

UKRYWANIE MIEJSC KULTU,
TOTEMÓW, AMULETÓW
i SYMBOLI związanych z dowolnym
BOGIEM, któremu nadano imię,
jest PRAWNIE KARALNE

PIELGRZYMKI do MIEJSC
ŚWIĘTYCH będą skutkowały
GRZYWNĄ, WIĘZIENIEM
i PUBLICZNĄ CHŁOSTĄ
NIELOJALNYCH STÓP

VEIGOWIE, ZABÓJCY BOGÓW, DZIAŁAJĄ OBECNIE W IMIENIU KRÓLA



Jeśli WIDZIAŁEŚ albo PODEJRZEWASZ obecność
MIEJSCA KULTU, BÓSTWA lub WYZNAWCÓW
będących w istocie PRZESTĘPCAMI, ZGŁOŚ TO
DO NAJBLIŻSZEGO ARBITRA



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kissen

TRUDNO ZABIĆ BOGA W TYM ŻYWIOLE, przypominała sobie Kissen z każdym przeklętym krokiem, który stawiała, wdrapując się na strome zbocza w środkowo-zachodnim Middrenie, kraju, który niegdyś był silniejszym sąsiadem Talicji. Był nim do czasu utraty swojego wschodniego miasta handlowego, Blenradenu, wraz z połową mieszkańców, co nastąpiło w wyniku kłótni bogów. Straszne wydarzenie dla Middrenu, ale dobre dla sakiewek bogobójców takich jak Kissen.

Poranne powietrze było wilgotne i zimne. Middren dopiero zaczął się otrząsać z uścisku zimy. Mimo że prawa noga Kissen została stworzona do wędrówki i choć podwójnie obwiązała sobie kolano, już czuła, że w miejscu, gdzie proteza styka się z mięśniem, robią jej się pęcherze, które później przyniosą ogromny ból.

Wąska droga przez las była pełna gęstego błota i na wpół rozmiękłych brył lodu, ale Kissen dostrzegała tu i ówdzie w mchu kształt stopy, przewrócony kamień, a nawet krople krwi, i to wszystko

mówiło jej, że idzie we właściwym kierunku. To była jedna z tych ścieżek, na których ludzie się modlili.

Kissen była wytrawną tropicielką, a mimo to słońce wisiało już wysoko, zanim znalazła znak – rząd białych kamieni na skraju szlaku, gdzie poziom gruntu zrównywał się z pobliskim strumieniem. Próg. Rozruszała ramiona i zaczerpnęła powietrza. Mogła zapewne zwabić tego boga do mniejszej świątyni, ale to by wymagało czasu i cierpliwości. Nie miała ani tego, ani tego.

Przekroczyła kamienie.

Dźwięki się zmieniły. Zniknął poranny śpiew ptaków, podobnie jak zapach liści i ściółki. Zamiast nich słyszała płynącą wodę, czuła głębię i zimny kamień, a także słaby ślad woni kadzidła... oraz krwi.

Trudniej było unicestwić bóstwo, niż je stworzyć. Nawet takie niedawno narodzone jak to, ledwie kilkuletnie. Jeszcze trudniej było zwabić monetą czy paciorkiem bóstwo, które zasmakowało już w ofiarach.

Zapach kadzidła narastał, gdy Kissen ostrożnie stąpała wzdłuż brzegu. Bóstwo wiedziało, że ona tu jest. Zatrzymała się na nabrzeżnych kamieniach, godząc się z bólem nogi, zimnem poranka i ostrym swędzeniem pęcherzy. Nie obnażyła miecza, jeszcze nie. Rzeka była płytka, ale miała rwący nurt, biały od piany z pobliskiego wodospadu.

Powietrze stało się chłodniejsze.

Nie jesteś tu mile widziana, bogobójczyni. Myślomowa bogów była gorsza niż igła wbita w czaszkę. Kojarzyła się jej z rozrywaniem umysłu, z inwazją.

– Byłaś pazerna, Ennerast – powiedziała Kissen. Powietrze zasyczało. Imiona mają moc i bogowie odczuwali swoje niczym szarpanie haczyka wbitego w skrzela, wyciąganie ich na światło. Ale Ennerast nie zamierzała dać się wywabić jedynie za pomocą imienia.

To było tylko trochę krwi, stwierdziła bogini, *zaledwie cielak albo dwa. Żadnego człowieczego pomiotu.*

– Daj spokój, głodziłaś ich, aż złożyli ci ofiarę – powiedziała Kissen, rozglądając się, badając otoczenie. – Sprawiałaś, że ich woda

cuchnęła zarazą. Zaciągałaś ich dzieci i starców na swój brzeg i groziłaś im śmiercią. – Z miejsca, w którym stała, mogła wykorzystać kilka elementów dających jej przewagę. Rzeka omywała jej buty.

Doprawdy miejscowy arbiter mógł wcześniej wezwać veigę. Żaden szanujący się przywódca miasta wielkości Ennerstonu nie powinien pozwolić bóstwu żyć na tyle długo, żeby zyskało taką siłę. Mimo że zakazano świątyń, bogowie wciąż się pojawiali. Istoty mocy, duchy obdarzone życiem i wolą za sprawą ludzkiej miłości i strachu, emocji na tyle silnych, by z nich czerpać. Ludzie byli głupi, a bogowie – okrutni.

– Krzywdziłaś ich – powiedziała Kissen. Woda u jej stóp przestała płynąć, zamiast tego wirowała i falowała przy brzegu.

Mam prawo. Jestem boginią.

– Ha! – Kissen roześmiała się bez wesołości. – Żerujesz na złęknonionych, Ennerast. Jesteś szczurem, a ja jestem szczurołapem.

Kissen sięgnęła w głąb swojego płaszcza z woskowiełny, przebiegając palcami po kieszeniach z relikwiami i totemami, instrumentami i kadzidłami, narzędziami swojego zawodu. Znalazła to, czego szukała, po drobnych oznaczeniach na słoiczku i wcisnęła paznokcie pod korek, żeby go zdjąć. Wewnątrz znajdował się kłębek skóry pokrytej napisami.

Powietrze wokół zgęstniało, nerwowe i podekscytowane. Woda zaczęła się pieniść. *Co to jest?*

Kissen nie wyczuwała tego, co bogowie: strachu, nadziei, rozpaczy – emocji, którymi lubili się bawić, ale o które nie dbali. Wiedziała jednak, co ich porusza, czego pragną.

– To modlitwa – powiedziała, nie wyjawiając wszystkiego.

Chcę ją.

– Modlitwa młodego mężczyzny z odległej wioski. – Kissen kciukiem wysunęła korek. – Chce, żeby go wybawić od suszy i pożarów lasu, uratować jego plony i trzodę. Rozpaczliwie potrzebuje wody.

Daj mi ją.